Wydawnictwa rok VII.
Dnia 25 sierpnia 1929 roku.

Nr. ~~311~~ 312

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

KNUT HAMSUN

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

NAJPRZYTOMNIEJSZY Z POŚRÓD PISARZY ŚWIATA

(KNUT HAMSUN)

Któż z pośród ludzi czytającego świata nie zna tej jakieś nieznanej przedtem, a dziś już w całym świecie powszechnej wsi, czy też małego rybackiego norweskiego miasteczka i pracujących w mieścinie takiej, — kilku sędziów, doktora, pastora, kilku kupców, kilkudziesięciu rybaków, ich żon i córek, z pośród których w mieścinie takiej nad fjordem przycupniętej bije najgłębsza mądrość życia i najistotniejsze podobieństwo prawdy?

Jest to zaiste cud swego rodzaju, cud nader osobliwy: Że bez względu chyba na szerokość geograficzną, na klimat, na najbardziej obce warunki lokalne, wszyscy, którzy czytają, czy to jest w Hiszpanji, czy u nas, na Węgrzech, czy w północnej Ameryce, czy wszędzie indziej, dzieje swoje i cierpienia i wiarę w przyszłość i pociechę pośród ciężkiego swego losu — mogą odnaleźć właśnie tam przy tych fjordach ustronnych, pośród ludzi tak przecie nieznanych i zaprzątniętych tak odrębnem życiem!

Jest to zaiste zjawisko niesłychane poniekąd, iż siła woli, rzutu artystycznych wizyj i odczucia absolutności danego środowiska stała się u odkrywcy tego świata i środowiska norweskiego, to jest u Knuta Hamsuna tak potężną i zupełną, że w świecie tym, norweskim, innym od wszystkich innych pomieścić się mogły i pomieściły z łatwością wdzięczną wszystkie odrębności. Słowem, że w pewnym sensie na jakiś czas w danej dziedzinie potrzeb, przeżyć i odczuć jakaś jedna ojczyzna zamknąć w sobie mogła bez reszty, różne odmienne ojczyzny, — pomieścić w sobie mogła cały świat.

Dokonał takiego kolosalnego wysiłku przetworzenia jednego w drugie wielki powieściopisarz Knut Hamsun. Dokonał tego w mierze i w doskonałości nieosiągniętej — wedle mego zdania, — przez żadnego z innych współczesnych pisarzów świata.

Wydaje mi się, iż taki wynik pracy i dążenia twórczego jest szczytem tego, co twórca w dziele swem osiągnąć może: Podnieść wartości przechodnie, zmienne, do wyżyny absolutnej, ze spraw przygodnych wysnuć niejako wieczną prawdę, splot danych warunków miejscowych wydźwignąć do wyżyn wiecznego zagadnienia.

Któż z czytających dzisiaj na świecie ludzi nie dojrzewał głębszem wewnętrznem życiem na tle spraw tych różnych drobnych rybaków, kupców, sędziów małego norweskiego miasteczka, doktorów i włóczęgów? Kto, szarpany szczęśliwą męką pierwszej miłości, nie znajdował dla miłości tej najszlachetniejszych i najcichszych wyrazów w książkach Knuta Hamsuna? Któż nie nauczył się z tych książek właśnie patrzeć z podejrzliwem przymrużeniem oczu na zbyt pewną szanowność powodzenia i zbyt mocno lakierowaną powagę dostojeństwa hierarchji? Kto nie nauczył się współczuć całej plejadzie, całemu prześwietnemu Olimpowi — jakże częstych w naszem życiu fałszywem, — ludzi nieudałych, którzy nic rzekomo nie znaczą, a jednak obecnością swą, czy raczej obecnością milczącego cierpienia swego łaskawie uświęcają twardą i bezwzględną groteską wielkiej krzywdy społecznej?

Jawi się tu więc pytanie, jak się to stać mogło, względnie jakiemi elementami posługiwał się ten pisarz nieporównany, w środkach technicznych rzekomo tak skromny, w anegdocie swej zawsze tak wstrzemięźliwy, w lokalizowaniu swych opowiadań tak zawsze do siebie podobny—że na małem miejscu ojczyzny swej zdążył pomieścić świat cały?

Sądzę, że najgłębszą, najpoufniejszą podstawą tych niebywałych a najszczytniejszych powodzeń tego autora, straszliwego zaiste siłą i głębią spojrzenia jest najczystsze nieustraszone nigdy współczucie. Współczucie dla ludzi, dla ojczyzny ukochanej, dla wielkiego szalejącego we wciąż nowych dążeniach ludzkiego świata.

Współczucie, — czyli miłość.

Współczucie, — powiedziałem — nieustraszone: Więc oczyszczone (ileż potrzeba na to hardości i twardości ducha, ileż entuzjazmu, najlepszej wiary, ileż bezmiłosierdzia, chirurgicznego niejako bezmiłosierdzia!) z wszystkich zapobiegawczych haseł, czy surogatyw idei społecznej, z wszelkiej legendy o rzekomej miłości bliźniego, z wszelkich gadek o więzi społecznej. Współczucie, — wynikające z najczystszej miłości całego życia.

Zdaje mi się, że możnaby napisać całe tomy o tej szkole, o tej dyscyplinie, o tym stylu coraz piękniejszym i wznioślejszym, jakim ćwiczy, jaki narzuca, czasami aż nakazuje Knut Hamsun (nakazuje namiętnym rozkazem woli) swemu współczuciu. Idzie ta linja od buntującego się „Głodu" aż do najszczytniejszych wyżyn, osiągniętych bodajże tylko przez Szekspira, Moljera, Göthego, czy Flauberta. Osiągniętych przez Hamsuna w książce nieporównanej tak rychle chyba z niczem w literaturze świata, — myślę tu o „Kobietach u Studni". Gdzie współczucie autora okazywane drobiazgowi ludzkiego istnienia przechodzi już niejako na drugą stronę dobrego i złego, stając się niezrównanym uśmiechem głębokiej, najpobłażliwszej prawdy.

Historja życia tego pisarza jest znana: Syn chłopskiej rodziny, biedak, włóczęga, szukający chleba na szerokim świecie, próbujący wszelakich zawodów,

wreszcie pisarz, którego sława niezmiernie szybko utrwala się na świecie.

Trudno w historji tej nie ocenić i nie uznać mądrości w technicznem przygotowaniu do pisarskiego zawodu. Tej przebiegłej i żywej intuicji, która a priori niejako nakazuje człowiekowi papierowego zawodu poznać inne zawody codziennej praktyki życia. Sądzę jednak, że ta metoda pracy i przygotowań do pisarskiego fachu, znana jest w świecie pisarskim dobrze oddawna, od wieków chyba. Wiadomo przecie każdemu praktykantowi tego papierowego powołania, że przepadł i zgubiony jest na zawsze, jeśli ugrzęźnie w smakach i przyprawach swej papierowej doli: iż w takim wypadku, jakże rychle kuźnia wielkich idej i prawd najgłębszych przemieni się w konwencjonalną gablotkę wyrobów galanteryjnych.

Wydaje mi się o wiele ciekawszą ta druga głębsza, wewnętrzna droga Knuta Hamsuna, którą ten człowiek, najprzytomniejszy chyba pośród pisarzów świata przejść musiał w obronie żywego człowieka w żarliwej obronie przed modą, czy upodobaniem prawdy i teorji swych czasów.

Na każdego przecie z ludzi danego czasu, — a cóż dopiero mówić o ludziach tak twórczych, jak Knut Hamsun, którzy mają prowadzić, — na każdego czyha, każdego obstępuje, otacza i zagarnąć może bez reszty prawie chora znikoma, tak potrzebna w danym momencie, a tak z punktu widzenia ciągłości życia ułomna i jednostronna prawda filozoficzna, społeczna czy historyczna.

Ulegali tym prawdom lokalnym i chwilowym wszyscy najwięksi. O taką prawdę miłości człowieczeństwa (wynaturzoną w chorej dosłowności rosyjskiej) rozbił swe dzieło olbrzymie Lew Tołstoj! Z powodu takiej prawdy musiał dokonywać wielkiego, kilkadziesiąt lat chyba trwającego okrążenia swej własnej sztuki Ibsen. Z powodu takiej prawdy związało się w ciężki a jakże zagmatwany węzeł nadludzkie w swej żywiołowej mocy dzieło Wagnera, — nie mówiąc już o innych twórcach wielkich i tak wspaniałych, jak Romain Rolland, jak Żeromski, jak Proust.

Knut Hamsun umiał i dotąd umie, jak niewielu, jak może nikt, — jak w historji naszej polskiej sztuki umieli tylko Chopin i Wyspiański, — dla prawdy i ścisłości swego dzieła poświęcić wszystko, przetrwać wszystkie nauki, hasła, teorje i nawet całe lata zwycięsko panujących filozofij.

Tą prawdą sztuki Hamsuna Knuta jest człowiek, powiedziałbym człowiek wieczny, wyzierający w każdem pokoleniu i na każdym załomie swych czasów, jako wartość zasadnicza, z której wszystko wynika. Zasługa srogiego w swej świetnej wesołości autora „Błogosławieństwa Ziemi" jest tem większa, iż człowieka tego szukał na drogach najtrudniejszych, to jest najcichszych, najzwyklejszych i najprostszych.

To znaczy tam, gdzie owa wartość człowiecza, gdzie owa drobna cegiełka ludzka przepala się i hartuje z dnia na dzień w ogniu i pod naciskiem spraw najcodzienniejszych, więc niejako codziennie nieodwołalnych i stale koniecznych.

W dziedzinie takiego oto poszukiwania człowieka jedno z ostatnich dzieł Knuta Hamsuna to jest „Kobiety u Studni" są arcydziełem nadludzkiej zda się skromności, rozumu i miłości.

Prasa literacka całego świata zajmuje się dziś osobą tego pisarza, który święci siedemdziesięciolecie swych urodzin i z tej okazji uciekł pono w góry przed udręką życzeń, hołdów i powinszowań.

Ludzie, którzy znają dobrze Knuta Hamsuna opowiadali mi, że jednak nie jest ani na wielką swą sławę, ani na takie właśnie wielkie hołdy nieczuły. Przypuszczam, że napewno, gdy z gór swoich powróci i zobaczy w swej poczcie te stosy, te góry całe wycinków z prasy całego świata, poświęcającej szpalty długie rocznicy urodzin pisarza, — Knut Hamsun ucieszy się i zaśmieje wesoło. Nikt przecie, może nikt tak jak on właśnie nie wie, ile dobrej woli i serdecznej opieki poświęcamy słabościom swym.

Knut Hamsun może dobrotliwie pobłażać swym słabościom. Wie przecież, że na rubieży dziewiętnastego i dwudziestego wieku jest w powieści całego świata pierwszym, największym i najszlachetniejszym obrońcą człowieka przeciw wszystkiemu co w człowieku tym niema wartości wiecznotrwałej.

Juljusz Kaden - Bandrowski.

KNUT HAMSUN O TOŁSTOJU, IBSENIE I BJORNSONIE

Podając tu opinję znakomitego autora „Kobiet u Studni" o pisarzach, którzy w swoim czasie, jako starsi i dalej posunięci w karjerze pisarskiej przytłaczali poniekąd debjuty pisarskie Knuta Hamsuna, nie posądzamy go bynajmniej o zawiść w stosunku do starszych kolegów. Opinje, które czytujemy wygłasza w powieści p. t. „Misterje", jeden z ukochanych bohaterów Knut Hamsuna, niejaki Nagel. Autor „Głodu" może się zawsze zasłonić tem, że to nie on sam sądzi starszych kolegów, lecz jedna z urojonych postaci, mianowicie ów wymyślony Nagel.

Cóż, kiedy w owych słowach wymyślonego Nagla słychać tyle gorącego impulsu, tyle namiętnego twardego rozgłosu, właściwego w osądzaniu spraw teoretycznych oderwanych i zasadniczych samemu Hamsunowi. I jeszcze: Zwrócić należy uwagę przy przedstawieniu sylwetki „starszych kolegów" przez Knuta Hamsuna nie niebywałą zwięzłość i lapidarność charakterystyk. Lapidarność ta mimo, że brutalna, godna jednak najlepszych określeń i pomyśleń flaubertowskich uchodzić może za swego rodzaju arcydzieło prozatorskiego skrótu w dziedzinie charakterystycznego portretu.

O Tołstoju:

Nie uważam go za głębszego od generała Bootha, naprzykład. Obaj są to nauczyciele, nie zaś myśliciele-

le. Biorą jeno gotowe myśli, popularyzują je i w ten sposób kierują światem. Ale jeśli się już czemś obraca, handluje, to trzeba to czynić z zyskiem, tymczasem Tołstoj handluje z ogromnemi stratami. Dwaj przyjaciele założyli się raz o dwanaście szylingów. Jeden twierdzi, że z odległości dwudziestu kroków wystrzeli drugiemu orzech z palców nie zraniwszy ręki. Potem strzelił haniebnie a z ręki zostały jeno strzępy. Ranny jęknął, ale ostatkiem sił zawołał jeszcze: — Przegrałeś zakład! Dawaj dwanaście szylingów... Tak zawołał... no, i dostał pieniądze.

W ten sposób stara się Tołstoj niweczyć wszystkie źródła życia i sprawić, by świat djabli wzięli z wielkiej miłości do Boga. Wstyd mi wielki za niego, wstyd.

Nie mówiłbym tego, gdyby Tołstoj był młodzieńcem i walczył z pokusami celem życia w czystości i propagowania cnoty. Ale jest to starzec, nie posiadający już żadnych ludzkich uczuć. Możnaby zarzucić, że nie dotyczy to samej jego nauki. Dotyczy jednak! Dopiero wówczas, gdy życie spędził w uciechach i starość uczyniła go łykowatym i odpornym na wszystko, idzie do młodych i każe im zrezygnować. Młodzieniec słucha, przyznaje, że wedle litery pisma wszystko jest słuszne, ale mimo to nie rezygnuje i grzeszy dalej po królewsku, przez lat czterdzieści. Gdy miną, dosiada i on białej szkapy, ujmuje krzyż w wyschłą dłoń i głosi innym młodzieńcom naukę rezygnacji. He - he - he, to komedja, powtarzająca się bez końca.

Tołstoj rozwesela mnie, zachwycony jestem, że taki gruchot zdobył się na tak kapitalny figiel. I czekam, by zasnął w Panu i dostąpił zbawienia. W gruncie rzeczy robi on jednak to, co każdy starzec przed nim i po nim robił będzie. Na tem koniec.

O Ibsenie.

Zdaniem mojem jest jeden tylko poeta w Norwegji, ale nie jest to Ibsen. Podnosi się Ibsena, jako myśliciela, ale należałoby odróżnić popularne rezonerstwo od myślenia prawdziwego. Mówią o sławie jego, o odwadze, a przecie trzebaby zwrócić uwagę, że co innego jest odwaga praktyczna, a teoretyczna, co innego bezosobiste męstwo rewolucjonisty, a co innego bezczelność na użytek domowy. Pierwsza rozbłyska w życiu, drugie olśniewa w teatrze.

Cóż to za wielki pisarz norweski, który się nadyma, w lancy rycerskiej ma szpilkę i jak mrówka wali głową w kół od płotu, by pokazać odwagę?! Prawdziwa rozkosz patrzeć na te harce zdaleka. Wre walka, mąż staje przeciw mężowi, postacie, iście napoleońskie, a ryzyko takie, jak we francuzkim pojedynku... Ha - ha - ha! Nie... Człowiek rewoltujący się naprawdę, to nie małe piszące kurjosum, abstakcyjne pojęcie literackie Niemców, ale silny, dzielny człowiek wiodący bój życia.

Ibsena nigdy, zaprawdę, silny zapał rewolucyjny nie wpędził na bezdroże, jego torpedy były to jeno teorje prowincjonalne w porównaniu do płomiennego czynu życia. Zresztą był może i jest dość dobry dla czasów naszych, które fabrykują książki dla hołoty. Nędzny i mały, posiada w każdym razie podobną wartość, jak Lew Tołstoj ze swem bezwstydnem bredzeniem filozoficznem... Niechże ich wszystkich djabli biorą.

O Björnsonie:

Nie można nawet porównywać Tołstoja z Björnsonem, zarówno dlatego, że razi to uczciwy rozsądek, jak i z powodu, że oburza się na to dusza.

Jeden i drugi są to niewątpliwie genjusze... Nie wiele sobie robię ze zwykłych codziennych genjuszów, ale przyznaję, że stopień ten osiągnął Tołstoj... Natomiast twierdzę że Björnson prześcignął go o wiele. Nie przeszkadza to wcale, że Tołstoj umiał robić książki o wiele lepsze od björnsonowskich, lecz czegóż to dowodzi?

Wszakże kapitanowie duńscy, norwescy malarze i angielskie damy również umieją robić dobre książki. Idzie o to, że Björnson był człowiekiem, a nie pojęciem abstrakcyjnem. Rozbijał się, jako żywy człowiek po świecie i potrzebował miejsca za czterdziestu. Nie udawał sfinksa, nie robił się wobec ludzi wielkim i mistycznym, jako Tołstoj w swych stepach, albo Ibsen w kawiarni.

Dusza Björnsona, to los targany burzą, bojuje wszędzie zawsze, i psuje sobie opinję u bywalców kawiarni „Grandu". Jest masywny i władczy, jest to jeden z niewielu wodzów. Może gestem ręki stojąc na trybunie uciszyć zaczynające się gwizdanie. Mózg jego ciągle coś drąży i przewala się po nim i zwycięża rozmachem a błędy jego są dosadne, ale i tu i tam widnieje indywidualność jego.

Björnson to jedyny nasz poeta natchniony, mający iskrę bożą. Zaczyna, jak wiatr szeleszczący latem po zbożu, a w końcu słychać jeno jego samego, poza tem nic.

Ma ruch duszy, właściwy genjuszowi. Poezja Ibsena to czysto mechaniczna praca biurowa w porównaniu z björnsonowską. Wiersze Ibsena klaskają rymami a większość jego dramatów, to bloki drzewa.

DO PROZY

Dobrze po wierszach — krótkich spięciach elektrycznych
Spocząć w tym mroku, gęstym, wpłynąć w fale zdarzeń
I odetchnąć swobodnie wiatrem prozaicznym
I miast oczu poety ujrzeć wiele twarzy.
Jak dobrze w tej kąpieli żywej i pachnącej
Zapomnieć wszystko, — spłukać myśli, trud i mozół.
W twoim świecie najlepiej w tym świecie trwającym,
Prawdo inna, prawdziwa, niebotyczna prozo!
Oto pędzisz jak powódź. Nęcisz jak narkotyk.
Wołasz: bierzcie! I jesteś nasza jak kobieta.
Poezja jest jak zapach. Ty jesteś jak dotyk.
Więc piękność twoją śpiewa bezbronny poeta.

Adam Galis.

MIASTECZKO

Trochę bruku — jest jedna apteka —
Elektrownia piąty rok w budowie —
Spokój — cisza — nikt na nic nie czeka —
Dużo plotek — niema żadnych nowin —

DWÓR

'Anachronizm patrzy ze starych portretów —
Obok auta w wozowni herbowa kareta —
Park cienisty—kwietniki—sadzawka—łabędzie —
Wkoło powstają miasta—dwór jeszcze stać będzie.

WIEŚ

W pachnącej dali głos fujarki kona —
Kominy chałup w słońcu lśnią skąpane —
Kurz na gościńcu — a po obu stronach —
Falują złotem napęczniałe łany —

Eugenjusz Żytomirski.

NA MARGINESIE

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ (1914 — 1918) ROMANA HOROSZKIEWICZA wydane nakładem Kierown. Związku Strzeleckiego Okręgu Podlasko-Poleskiego składają się z wspomnień walk I-szej Brygady, oraz ze wspomnień autora, dotyczących końca pięknej epopei legjonowej na włoskim froncie. Książkę tę czyta się z wielkiem wzruszeniem i najgłębszą dla autora wdzięcznością. Że nie zapomniał tych prześlicznych szczegółów, że tak dobrze pamięta dzieje i losy nieśmiertelnych kolegów swych.

Odnosi się wrażenie po przeczytaniu małych szkiców R. Horoszkiewicza, że pamięta i wie o wiele więcej, niż we wspomnieniach napisał! Nie powinna jednak przecie ta wiedza wspomnień żołnierskich być tak fragmentaryczną, nie powinny te rzeczy ukazywać się jakby na marginesie wydawniczego ruchu. Horoszkiewicz powinien móc napisać wszystko, co pamięta, powinien znaleść się nakładca, któryby to wydał porządnie, jak należy. Trudno o piękniejszą, bardziej wzruszającą literaturę dla utwierdzenia ducha męstwa, ducha ofiary i patrjotyzmu, jak ta właśnie skromna prosta literatura młodzieńczych wspomnień kadrowego legjonisty.

Z małej, zaiste zbyt szczupłej książeczki R. Horoszkiewicza wybieramy pierwsze z brzegu fragmenty:

„1 październik 1927 Clanec (po rozwiązaniu pułku 1-go Legjonów na włoskim froncie).

Siedzi obok mnie kolega i opowiada, — jak to on białe rękawiczki z Kielc jeszcze od 14-go roku nosi na wejście do Warszawy. A pierwszy pułk nie wszedł do Warszawy — i już nigdy nie wejdzie. Adaś Popowicz zaś białe rękawiczki na Istrję przyniósł i wyciągnął je właśnie z plecaka i drze je powoli na coraz drobniejsze kawałki, w silnych żołnierskich palcach.

Wieczór już późny, siedzimy na kwaterze i dumamy nad dniem, co przyszedł. Dniem, w którym ubraliśmy austrjackie mundury. Przechodzimy jakby w nową formę istnienia".

„10-go grudnia, 1917 r.

...Może już wiesz, a może jeszcze nie — że ruszono nas prawie nagle z Clanec na Istryi. Po długim marszu do Opcinje czekał nas już bojowy przemarsz przez Hermadę, a potem szerokim białym gościńcem długi ciężki pościg za Włochami przez Monfalcone, Cervignano do Latisany. Teraz stoimy na pozycji nad Piawą. Prawie nad ujściem Piawy do morza.

Pomyśl, my, cośmy o polskiej armji stale marzyli, — w obcych mundurach bić się musimy z Włochami, do których tyle mamy sympatji. Ale cóż, żołnierz nie zdradza, protestujemy w legalny sposób. (Że te legalne protesty psu się na budę nie zdadzą, to fakt).

Jedno pocieszyć może: Tutaj coś się psuje w c. k. armji. Byle zatem przetrwać, byle przeczekać. Tymczasem zaś trzeba dobrze pełnić swój najbliższy obowiązek, nim się będzie mogło spełnić ten największy i najświętszy".

Jakież to proste i wspaniałe. Ile prawości i żołnierskiej godności!

Starzy koledzy broni, sławna Pierwsza Kompanja Kadrowa, wszyscy legjoniści, cała ta wielka niestrudzona łazikowska i tak zaszczytna dola legjonowa mają prawo domagać się od Horoszkiewicza jego pilnych pamiętliwych czujnych i serdecznych wspomnień, zebranych w duży pięknie wydany tom.

* * *

ZNANY PISARZ I KRYTYK ESTOŃSKI Bernhard Linde, który bawił w Polsce ubiegłej zimy pisze obecnie po estońsku książkę o literaturze polskiej i naszych środowiskach literackich.

Książka p. Lindego ma się ukazać w Tallinnie jeszcze tego roku w zimie.

* * *

LUDWIG PIERARD poseł do parlamentu belgijskiego z ramienia tamtejszej partji socjalistycznej i wiceprezes brukselskiego PEN-Klubu nadsyła nam tom nowel swych p. t. Les Trois Borains (Trzej Górnicy), ilustrowany przez Antoniego Carte.

L. Pierard nie porusza w nowelach swych poświęconych górnikom sprawy pracy górnika belgijskitgo, jego warunków bytu, ani też zagadnień walki górnika z kapitałem. Autor zajmuje się raczej w swych zręcznych opowiadaniach życiem domowem górników, osiągając w noweli Orfeusz (Orphée, bombardon) dość wysoki i szczerze humorystyczny efekt artystyczny).

Inne nowele tego tomu traktują o postawie górników belgijskich w czasie okupacji niemieckiej, sławią wreszcie siłę i potęgę armji angielskiej a zwłaszcza szkockich oddziałów uwalniających Flandrję.

Książka o górnikach, pisana przez wybitnego posła socjalistycznego, w której niema ani słowa o ciężkich warunkach życia górniczego, oraz ani słowa o walce górników z kapitałem, — to chyba jakby pisano wyłącznie z myślą o redaktorze Robotnika, p. Niedziałkowskim!

* * *

WYDAWNICTWO S. FISCHER (Fischer - Verlag, Berlin), które podjęło się wydania całego przekładu dzieł J. Korzeniowskiego - Conrada w tłomaczeniu niemieckiem, w notatkach i wstawkach reklamowych dodawanych do wydawnictw firmy, podaje nazwisko wielkiego pisarza w pełnem jego brzmieniu (Conrad - Korzeniowski), oraz we wstępie biograficznym uwzględnia wyraźnie polskie pochodzenie pisarza. Notujemy tę lojalność tem skwapliwiej, że prawie wszystkie angielskie a już zwłaszcza amerykańskie wydawnictwa dzieł Conrada polskie jego nazwisko prawie zawsze przemilczają.

* * *

CZY TO WYSTARCZY FEJLETONIŚCIE ROBOTNIKA?! W jednym ze swych fejletonów o wystawie poznańskiej fejletonista Robotnika p. Irzykowski stwierdził na mocy wyczerpujących rozmów z oprowadzającym po wystawie gości sztygarem, że katastrofy kopalniane nie grają dziś w życiu górników prawie żadnej roli, są raczej romantycznym rekwizytem, „nie są straszne" i można je łatwo ograniczyć za pomocą dzisiejszych środków technicznych.

Redaktor Robotnika p. Niedziałkowski skwapliwie podzielił się tem radosnem odkryciem p. Irzykowskiego ze swemi czytelnikami. A tu tymczasem statystyka wypadków w górnictwie i hutnictwie G. Śląska dokonana przez związek pracodawców na G. Śląsku za lata 1925 — 1928 stwierdza, że w okresie tym z pośród robotników, zajętych przy pracy w górnictwie i hutnictwie uległo aż 21,213 osób nieszczęśliwym wypadkom. W liczbie tej aż 144 wypadki były śmiertelne.

W górnictwie i hutnictwie Górnego Śląska, który ma przecież o wiele lepsze urządzenia techniczne od Zagłębia b. Królestwa!

Czy cyfry powyższe zadowolą pp. Irzykowskiego i Niedziałkowskiego, którzy traktują w swem piśmie katastrofy kopalniane, — jako rekwizyty romantyczne, — przewidzieć, oczywiście, nie możemy.

jkb.

O PAŃSTWOWĄ WYSTAWĘ SZTUKI W WARSZAWIE

Nie ulega zapewne dla nikogo najmniejszej wątpliwości, że pod względem wychowania artystycznego Warszawa stoi na niezwykle nizkim poziomie. Od dnia zamknięcia Salonu Krywulta, który od czasu do czasu wypuszczał dopływ świeżego powietrza z Europy, Warszawa nic nie wie o sztuce europejskiej.

We wstępie do katalogu wystawy czeskiej w Warszawie, redaktor katalogu wylicza wielką ilość wystaw sztuki francuskiej w Pradze. W Berlinie w roku ubiegłym było urządzone pięć różnorodnych wystaw sztuki francuskiej, w tej liczbie jedyna na świecie pod względem ilości i jakości wystawa Edwarda Maneta. W Zurychu, liczącym 300 tysięcy mieszkańców, urządzono zbiorową wystawę Rodina, powtórzoną potem w Bazylei, i wielką wystawę impresjonistów francuskich. Nawet w małem przemysłowem miasteczku Winterthur, pod Zurychem, zorganizowano ciekawą dużą wystawę malarstwa francuskiego. W miastach niemieckich, takich jak Lipsk czy Drezno, widziałem jeszcze przed wojną wystawę sztuki szwedzkiej, wystawę eźrzb belga Constantina Meuniera, szweda Carla Larssona, holendra Van Gogha, francuza Cézanne'a i t. p. W różnych miastach włoskich odbywały się wystawy najróżnorodniejszych malarzy, pomijając już międzynarodowe wystawy w Wenecji.

Ze smutkiem stwierdzić musimy, że podobnych wystaw w Warszawie nie widywaliśmy. Należy odróżniać wystawy t. zw. propagandowe, więc oficjalne, od wystaw urządzanych za własną inicjatywą dla wiadomych i ściśle określonych celów. Warszawa miała dotychczas kilka wystaw oficjalnych, z których trzy— węgierska, czeska i niemiecka, zdołały zapoznać widza naszego z pewnymi artystami, ale nie z kierunkiem myśli w twórczości europejskiej. Wystawy urządzane dla celów raczej tych narodów, które wystawę organizowały, a nie dla celów naszych, nie były ani kompletne, ani dostateczne.

Widza naszego należy bezustannie kształcić. Trzeba pozwolić mu wchłaniać w siebie życie współczesnej Europy i jej kulturę, podnosić poziom jego kultury i wymagań, a kształcić przytem należy nie tylko widza ale i artystę, aby nie zatracał kontaktu z kulturą europejską, a wówczas dopiero i widz i artysta będą zdolni do wydawania i absorbowania sztuki

Literat jest w kontakcie z twórczością literacką Europy po przez książki. Artysta, malarz czy rzeźbiarz, może wejść w kontakt tylko przez częste oglądanie nowo powstających dzieł. To zaś urzeczywistnić mogą wyłącznie wystawy dzieł sztuki europejskiej.

Niestety, organizowaniem takich wystaw nie interesuje się nikt. Zachęta, w całej swojej dla sztuki wrogiej działalności, idzie po linji najmniejszego oporu, robi to, co nie wymaga wysiłku ani pracy. Salony prywatne są bądź za biedne, by zajmować się podobnemi imprezami, bądź też imprezy te ich nie obchodzą, gdyż przy dziwnej ospałości widza warszawskiego i przy wyłącznem zainteresowaniu zaledwie kilkoma polskimi malarzami, urządzanie wystaw artystów obcych nie przedstawia żadnego interesu handlowego.

Warszawa nie posiada więc ani jednej poważnej instytucji wystawowej. Większość znanych artystów po usunięciu się z Zachęty niema gdzie wystawiać. Dwa salony, udzielając młodym artystom gościny, poważnym celom wystawowym zupełnie nie odpowiadają. Najlepszym dowodem fatalnego braku były trudności przy urządzaniu wystawy sztuki niemieckiej, ostatniej wystawy, sztuki krakowskiej i wystawy statutu kaliskiego.

Jedynym organem powołanym do zainicjowania wystawy o celach kulturalno - artystycznych jest bezsprzecznie Departament Sztuki. Państwo nasze nie posiada ani jednego muzeum. Można by to zrozumieć — muzeum powstaje latami, żąda wielkich nakładów. Ale instytucja wystawowa żąda jedynie gmachu i niewielkich subwencji. Skutki zaś stworzenia po-

dobnej instytucji mogą być dla setek artystów tak samo ważne, jak dzisiejsze subwencje osobiste. Gmach wystawy duży, prowadzony fachowo, z jasno wytkniętym celem wychowania polskiego widza w dziedzinie sztuki polskiej i obcej, i popierania twórczych wysiłków pokoleń nadchodzących, to znaczy gmach wystawowy, którego treścią pracy będzie nowe stające się życie, i przy wystawie powoli powstające zbiory sztuki współczesnej polskiej i obcej — oto instytucja, konieczna dla normalnego rozwoju artystycznego życia w Polsce.

Powstanie takiego gmachu w Warszawie może wywołać podobny odruch w innych wielkich centrach Polski i wystawy z gmachu centralnego będą mogły przenosić się do innych ośrodków Polski. W ten sposób rozwinie się i skoncentruje rozpoczęta już przez nową Dyrekcję Departamentu praca nad stworzeniem organu propagandy sztuki polskiej w Polsce, równorzędnego do organu propagandy sztuki polskiej zagranicą.

Niestety, kredyty wyznaczone na rozwój działalności Departamentu Sztuki zostały zawieszone Czyż istotnie trzeba aż przypominać o tem, że zrealizowanie sprawy, o której tu mowa, jest dla życia polskiego tak samo ważne, jak zrealizowanie spraw natury gospodarczej, że wartości duchowe bronią narodu pod względem politycznym tak, jak wszelkie inne jego wartości?

Kto badał w czasie wojny propagandę kultury niemieckiej, prowadzoną przez rząd niemiecki w Szwajcarji, więc w jedynem wówczas ośrodku życia kultury europejskiej, ten może docenić, jak niezwykłe ważną rolę polityczną odgrywa dorobek duchowy w walce wewnętrzno - europejskiej. Państwo polskie, nie umiejące wylegitymować się swojemi wartościami duchowemi, będzie odsunięte na szary koniec europejskiego życia.

Mieczysław Sterling.

STWARZANIE BOGA*)

Są książki, których przemilczać nie wolno, których ukazanie się należy sygnalizować wszystkim, co nie dostąpili jeszcze rozkoszy ich czytania. Zwłaszcza przy zalewie naszego rynku księgarskiego tandetą różnych zagranicznych i domorosłych Wallace'ów. O dobrej książce trzeba pisać dużo, polecać ją i reklamować najusilniej. Tembardziej książkę świetną.

Za taką uważam właśnie powieść norweskiego pisarza Johana Bojer'a „Wielki głód", pięknie spolszczoną przez Staffa. Nie wiem, czy będzie to zachętą, jeśli wyznam, że po łapczywem wchłonięciu jej treści natychmiast zabrałem się do powtórnego jej przewertowania i z niesłabnącem zainteresowaniem przeczytałem ją raz drugi od pierwszej do ostatniej karty. Wieje od niej dziwny urok północy, ozon mroźnych fiordów, świeżość pustyń i gór śniegowych — a przedewszystkiem prostota i prawda, podbijająca czytelnika już od pierwszej stronicy.

Bohaterem powieści jest Per Holm, naturalny syn kapitana, oddany na wychowanie rybakom, od najmłodszych lat borykający się z losem i trawiony wielkim głodem — nauki, pracy, bogactwa i sławy. Pierwotnem marzeniem chłopca jest zostać pastorem. Gdy jednak po śmierci ojca zostaje wezwany przez pełnomocnika i wykonawcę woli nieboszczyka do miasta, gdzie otrzymuje pracę w fabryce i dokąd sprowadza swą siostrę przyrodnią, Lorisę, też dziecko miłości; gdy po krótkiem wspólnem pożyciu rodzeństwa bezlitosny dyfteryt zabiera mu towarzyszkę, a wraz z nią to ciepło rodzinne, jakie oboje sobie stworzyli — Per rozczarowuje się do Boga. „Czyż nie stał zawsze po stronie tych, którym zgóry już było dobrze? Wznoszę dłoń swą nad tymi, którzy mają rodziców, rodzeństwo i dobrobyt. Jeśli jednak znajdzie się młody człowiek, który stoi sam i walczy i wedle sił swoich dąży naprzód, to odbierzcie mu jedyną rzecz, jaką posiada. Z chłopcem tym nie trzeba robić dużo ceremonji. Niech będzie ukarany, gdyż nikt się za nim nie ujmie". Odtąd już dawny ideał — proboszcz wiejskiej parafji ustępuje przed nowym — zdobywczym inżynierem.

Per zapisuje się do szkoły technicznej. Już teraz może korzystać ze szczupłej sumki, zostawionej mu przez ojca. Tam poznaje Ferdynanda Holma, swego brata przyrodniego, prawowitego syna kapitana. Nie wyznaje mu jednak tajemnicy swego pochodzenia, której się jednak Ferdynand domyśla. Rzekomy zbieg okoliczności — jednakowe nazwiska i pewne powinowactwo duchowe zbliżają ich do siebie. Stają się przyjaciółmi — dwaj bracia i jeszcze trzeci Klaus Brock, towarzysz zabaw dziecięcych Pera, syn lekarza wiejskiego. Wkrótce starsi od Pera przyjaciele kończą szkołę i wyjeżdżają zagranicę, gdzie wnet otrzymują intratne posady w wielkiej firmie londyńskiej w Egipcie. Po roku wzywają do siebie druha, świeżo upieczonego inżyniera. „Per pojechał do stolicy, a stamtąd w szeroki świat". Na tem kończy się pierwsza część powieści, zamykająca młodzieńcze lata Holma.

Upłynęło wiele wiosen. Per zdobywca, Per miljoner, tułacz po ogromnym świecie, zatęskniwszy do fiordów ojczystych, wraca na parostatku do rodzinnej ziemi. „Tu Norwegja. Nareszcie. Jakby trudniej mu było oddychać. Nie mógł się uspokoić, tylko przystawał co chwila, by raz jeszcze spojrzeć na szarą smugę. Teraz zaczęły ukazywać się ptaki z wyciągniętemi szyjami i rączemi skrzydłami. Witaj w domu, zdawały się mówić". „Wszystko było tu tak swojskie, urodzajne, ojczyste, acz wiedział, że będzie tylko turystą we własnym kraju. Nikt go nie oczekiwał, nie miał nikogo, kogoby mógł odwiedzić".

I jako turysta przemierza teraz ojczyste góry. „O jakże robi się lekko, kroki stają się szybsze. Per nuci wesołą piosenkę, łapie się na tem. Mój Boże, wszak nie za późno jeszcze być młodym!" „Wreszcie nadszedł dzień nad dniami". Na pewnym szczycie

*) Jan Bojer: Wielki głód. Z upoważnienia autora przełożył L. Staff. Instytut wydawniczy „Renaissance".

spotyka dwie młode dziewczyny, gotujące sobie nad ogniem kawę. Jedna z nich miała stać się jego żoną. Małżeństwo.

Rozkosz domowego ogniska, odpoczynku i zacisza po długich burzliwych latach. Radość posiadania własnych krów i koni, własnego majątku, zdobytego upartą, ciężką pracą. I miłość Merli, ukochanie jej ciepłych, pełnych ust, wspólne przejażdżki konne latem, wycieczki zimą na nartach. Każdy dzień daje tyle szczęścia. Wieczorami powtarza Merli z wdzięcznością: „Dzięki ci, żono za dzień dzisiejszy".

Dzieci.

Nowa fala radości i szczęścia. Aż kiedyś podczas pewnej samotnej przejażdżki w obliczu wschodzącego słońca — niepokojące pytanie przebudzonej z uśpienia duszy: „Czy ci to wystarcza? Czy to spoczywanie w sobie samym to dosyć? Czy wzniosłeś kamień, na który wstępują inni ludzie i mówią: Teraz widzimy dalej, niż przedtem? Czem jest to wnętrze, jeśli się nie odzwierciadla w postępkach? W co wierzysz? Jak często byłeś z Merlą z jej dłonią w swojej dłoni, kiedy żarliwie szukaliście kogoś, ktoby mógł przyjąć modlitwę waszą, nie jakąś tam żebraninę o łaskę, lecz podziękowanie, radość z powodu życia. Ale gdzie on jest? Niema go. A jednak — jest. Lecz asceta na krzyżu jest bogiem dla starców i chorych.

A my inni?

Kiedyż dla nowoczesnego, silnego, naukowo myślącego człowieka zbudowana zostanie świątynia dla dźwięku psalmu i tonu wieczności w jego duszy?"

Na chrzciny pierworodnego przyjeżdżają z dalekiej Afryki zaproszeni przyjaciele — Ferdynand Holm i Klaus Broch. Wnoszą do zacisza wiejskiego zapach dalekich podróży, tchnienie wiecznej gorączki człowieka pracy, niestrudzenie zdobywającego pieniądz. I pytanie brata — czy jesteś szczęśliwy? I stwierdzenie podświadomie odczuwanego przez Pera faktu: „Jesteś bardzo nieszczęśliwy, jak nim jest każdy, kto marnuje swe zdolności i dary. „Stal nie chce spokoju. I ogień go nie chce. I Prometeusz go nie chce". I pokusa: jedź nad Eufrat, gdzie rozpoczęto olbrzymie rozbudowy. A po odjeździe przyjaciół nipokój. To „stal zaczyna budzić się w tobie, śpiewa. Śpiewa. Chce dążyć naprzód. Musisz."

Per rzuca się w wielką imprezę krajową, na której traci olbrzymie sumy. Nadomiar złego przychodzi wieść o bankructwie towarzystwa w Afryce, w którem Holm ulokował cały swój kapitał. Per staje się nędzarzem. Jeszcze próba wynalazku nowego sytemu kosiarki. Zawodzi. A mózg nie może wytrzymać nadmiernej pracy. Osłabienie, straszliwe bóle głowy, bezsenność, zanik zdolności twórczych. Koniec wielkiej karjery.

Zaczyna się część trzecia najgłębsza i najpiękniejsza. Per z żoną i dziećmi zamieszkują na wsi w dolinie, zabitej od świata wałami gór. Na rok mają zapewnione utrzymanie dzięki pomocy rodziny Merli. W ciągu tego czasu Per ma wrócić do zdrowia, aby móc znowu rozpocząć pracę. „Byli rozbitkami, którzy tu wyrzuceni zostali na ląd". Ale bezczynność nie wpływa kojąco na znękane nerwy. Noce bezsenne odbierają siły, a przedewszystkiem trapi upiorna myśl, co będzie, gdy po roku nie wyzdrowieje. I znocią swej siostry utracił, i z ust jego wyrywa się żarliwu Per ogląda się za Bogiem, którego wraz z śmierwe wołanie: „Czy jest tam w górze wola, która cię obchodzi? Nie wierzysz w to, a jednak wznosisz tam nieśmiałą modlitwę: Pomóż mi i ty! Kto? Ty, który słyszysz. Jeśli istotnie żywisz miłość dla nędznego robactwa ludzkiego, pomóż mi! Jeśli prosiłem cię niegdyś o pracę, która miała nasycić mój głód wieczności, to wyznaję, że była to pycha. Uczyń mnie niewolnikiem najmarniejszego zarobku, tylko nie pozwól, by zabrano mi Merlę i dzieci. Słyszysz?"

Dla zabicia czasu próbuje rąbać drzewo. Ale głowa mimo to nie przestaje się palić niedorzecznemi pomysłami. Znosi kamienie dla rowu przy gościńcu. Ale w głowie wciąż huczy coś i rąbie — niby początek obłędu. Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Nie ma za co kupić dzieciom podarków, on, co zawsze je obsypywał najdroższemi. Sam majstruje im saneczki, narty i łóżeczko dla lalki. Praca ta daje mu trochę zadowolenia. Na dzień wigilijny rodzina przysłała trochę prezentów. Był czas, kiedy sami obdarzali ubogich, dziś muszą korzystać z łaski innych. Ale Per konstatuje: „Choćbym tobie i sobie miał zabrać sztukę bielizny, to jednak zejdę w dolinę do stolarza, który ma suchoty, i wrzucę mu pakiecik do izby. Inaczej nie będzie to prawdziwe Boże Narodzenie". I dzieli się zawartością przysłanych im z miasta pakietów z biednym suchotnikiem. Dni mijają, zdrowie nie wraca. Per, nie chcąc nadal korzystać z pomocy rodziny, zostaje kowalem. On, dawny inżynier, budujący pod zwrotnikiem koleje i przeprowadzający kanały, niezgorzej pracuje w kuźni. Młot wartko uderza w kowadło i stal jak dawniej śpiewa. Ale w domu bieda. Ciotka pisze — przyślijcie mi dzieci, niechby i wszystko troje. Per to rozumie. Sama bezdzietna, chce je zatrzymać przy sobie. Ciężka, bolesna walka. Cóż da tutaj dzieciom? Czy może je posyłać do szkoły? Czy wolno mu dla egoistycznej miłości więzić je przy sobie w nędzy, zamykać świat przed niemi? Starsze dzieci odjeżdżają do miasta do ciotki. Zostaje najmłodsze, maleństwo Asta, jedyne szczęście teraz rodziców, jedyna osłoda ich smutnej samotności.

I staje się rzecz okropna. Sąsiad Pera, ubogi mosiężnik, upatrujący oddawna w inżynierze — kowalu konkurenta, mści się na nim w okrutny sposób, poszczuwszy pewnego razu swego złośliwego psa na dziecko. I w nocy po odjeździe lekarza, którego matka nie chciała wypuścić, po bezskutecznych jego usiłowaniach „ojciec i matka siedzieli w izbie i patrzyli nieruchomo przed siebie. Matka już nie jęczała. Dziecko leżało na marach. Ojciec siedział przy oknie i patrzał na dwór. Był maj, noc była szara."

I wtedy to, kiedy Per, zda się, wszystko już utracił, odnalazł swego Boga. Nie „mściwego Jehowę" na niebie, igrającego nieszczęściami Hioba i nie „ascetę na krzyżu". Lecz Boga ducha ludzkiego. „Poznawałem coraz bardziej, że człowiek musi sam stwarzać boskość w niebie i na ziemi i przez to

właśnie triumfuje nad martwą wszechmocą we wszechświecie."

Było tak. Przyszła wiosenna posucha. Ludzie napróżno czekali deszczu. Wreszcie zaczęli siać, „wtedy jednak nastąpił mróz i gołoledź i ziarno zmarzło". Sąsiad Pera, mosiężnik, miał łan jęczmienia, ale gdy trzeba było siać powtórnie nie miał zapasu ziarna, a nikt mu go nie chciał pożyczyć. Po strasznym wypadku z dzieckiem wszyscy odsunęli się od niego. Czekał go głód, a może śmierć.

I oto: „Jeden darowywa królestwo i to nic go nie kosztuje, a drugi ofiarowuje garść ziarna, które nietylko stanowi całe jego mienie, lecz kosztowało go moc wzruszeń duchowych i walk, zanim osiągnął tę formę szczodrobliwości w swej duszy. Człowiek musi się wznieść i być lepszy niż ślepe moce, które kierują jego drogami, pośród nieszczęścia musi dbać o to, by to, co boskie, nie zmarło.

I „ażeby Bóg żył", Per zakradł się w nocy na pole wroga i posiał ziarno.

„Cudowny jesteś, o duchu ludzki. Tak boski jesteś w swej najistotniejszej istocie. Zbierasz żniwo śmierci i siejesz za to marzenie o życiu wiecznem. W odpłatę za swe nieszczęście zaludniasz wszechświat wszechmiłującym Bogiem".

Książka ożywcza i podnosząca, godząca z życiem wbrew jego złu i cierpieniu. Głęboko religijna mimo swego ateizmu. Ucząca żyć i walczyć, cierpieć i kochać — a nigdy nie upadać, a zawsze zwyciężać.

Szukaniem i stwarzaniem Boga — nazwałbym ją. Wielki głód Pera to przedewszystkiem głód Boga, którego nie znalazłszy w niebie ni na ziemi, odnajdzie w głębi swego serca. Czy dzieje Pera nie są nam jak najbardziej bliskie? Czy w zmaganiach się jego z życiem i w uciążliwem pięciu się na szczyt doskonałości, który osiąga w chwili największej klęski, nie widzimy samych siebie, w uporczywej walce dnia codziennego cierpliwie doszukujących się swego własnego Boga?

Specjaliści, zawodowi krytycy, powinni poświęcić i zapewne poświęcą niejedną kartę głębszej analizie tego dzieła. Ja tu ograniczyłem się tylko do streszczenia, które, mam nadzieję, zachęci może niejednego do poznania tej mądrej i głębokiej powieści.

I jeszcze jedno. Książka ta natrafiła w Polsce na wymarzonego dla niej tłumacza. Któż inny, jak nie autor tych prześlicznych strof z wiersza „O miłości wroga":

Tyś mnie ukrzywdził bracie, tyś zranił moją miłą —
Jam ją ukochał bardziej, twej duszy krwi ubyło.

Tyś cios mi zadał w duszę, co miłość swą ci dała —
Jam bólem się oczyścił, a dusza twa skonała. — — —

Któż inny godniejszy był przełożyć wstrząsający finał tej powieści?

Kazimierz Andrzej Jaworski

Z GALERJI TYPÓW DAWNYCH DZIENNIKARZY WARSZAWSKICH

II.

Drugą postacią znaną powszechnie w ówczesnem dziennikarstwie warszawskiem ze swojej oryginalności, a równocześnie niepospolitym talentem publicystycznym — był Józef Kenig.

Człowiek olbrzymiego wzrostu, a przytem niezmiernie chudy, odznaczający się niepospolitym apetytem, jak to często się zdarza u ludzi chudych (exemplum: Brunon Winawer) — Kenig potrafił zjeść całą pieczeń wołową, do tego dwadzieścia ciastek, pójść do redakcji, napisać wstępny artykuł i zaraz potem wrócić do restauracji na przedteatralną kolację. A teatr nęcił go podwójnie: najpierw, jako znawcę, miłośnika i recenzenta, powtóre jako męża aktorki (Palińskiej). Pani Salomea grywała różnie. Miewała, jak to się mówi, swoje dni. Ale i pan Józef miewał swoje wieczory w których przychodził do teatru nietylko po całej butelce, nieraz niejednej. To też kiedyś gdy pan redaktor przyszedł na drugi akt komedji Sardou, w której występowała pani redaktorowa, rozległ się nagle przy którejś scenie głos z fotela redaktorskiego:

— Pie... sz, Salusiu.

W ówczesnej małej Warszawie, kiedy cały teatr Rozmaitości znał się osobiście, łatwo sobie wyobrazić przerażenie dobrze myślącej publiczności.

Kenig w redakcji był siłą nieocenioną. Pisał z błyskawiczną szybkością od artykułów wstępnych począwszy, — wszystko A więc recenzje teatralne i literackie, — z książek beletrystycznych i naukowych, przeglądy prasy, feljetony.

Znakomite były jego wstępy do artykułów politycznych, pełne tupetu, ale, trzeba przyznać, że i znajomości rzeczy. Zaczynał je, naprzykład, w taki sposób:

Gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych usłuchał był rad naszych, których mu na tych łamach nie szczędziliśmy, nie żałowałby dziś i t. d.

Albo: Idąc, tym razem, za naszą radą, (patrz numer z dn. ...) książe Bismark i t. d.

Taka pewność siebie robiła swoje, zwłaszcza na prowincji, gdzie „łyki" i szlachta uważały, że co drukowane, to święte!

Pod tą niepozorną, napozór, powłoką, kryło się jednak gorące serce patrjoty i bardzo prawego człowieka. Bo też była to epoka, w której ludzi dzielono na patrjotów i niepatrjotów, czyli zaprzedanych moskalom. Niezawsze sądy takie były słuszne. Wielu dobrych polaków nie podzielało ówczesnych powstańczych tendencyj. Odsądzono ich od czci i wiary; później dopiero tacy historycy, jak Koźmian, lub W. Przyborowski przywracali im dobre imię. Kenig należał w swoim czasie do zapalonych zwolenników powstania. Z biegiem lat jednak nad sercem brał coraz bardziej górę t. zw. rozsądek i z „Gazety Polskiej" kazał mu przejść do zachowawczego „Słowa". Zanim o jego redakcji powiemy kilka słów, chcemy się zatrzymać

na innem wydawnictwie, którego istnienie związane było bezpośrednio z t. zw. wypadkami przedpowstaniowemi. Oto w najbliższej łączności z owemi wypadkami, którejś nocy, po dokonaniu rewizji, wywieziono z mieszkania na placu Teatralnym ówczesnego redaktora „Kurjera Warszawskiego" Karola Kucza.

Kucz pojechał z żandarmem w kibitce do Orenburga. Po paru latach, gdy wrócił do Warszawy, już posady w „Kurjerze" nie znalazł. Zajął ją ktoś inny. Żywioły, które opanowały Kurjer, nie były politycznie zdecydowane, była to raczej odmiana letniej wody, ani zimnej, ani gorącej, lecz tej, którą „wypluję z uściech moich". Właścicielka Kurjera (pani Zabłocka) radaby była widzieć na naczelnem stanowisku w swojem piśmie zesłańca, bo to dobrze wpływało na popularność gazety w kraju, ale jej wyperswadowano, że to „źle robi" dla cenzury, która będzie się przyczepiała do każdego zdania. Ostatecznie, Kucz, zirytowany tem wszystkiem, co zastał, założył własne pismo i nazwał je „Kurjerem Codziennym". Ponieważ popularność Kucza wzrosła istotnie jeszcze bardziej, „Kurjer Codzienny" stał się wkrótce groźnym konkurentem dla Warszawskiego.

Kucz był to jeden z tych ludzi, o których się mówi, że łatwiej mu powiedzieć, niż splunąć. Świetny kompan, o wyjątkowo mocnej głowie, bardzo uzdolniony improwizator, Kucz wygłosił w różnych okolicznościach tysiące toastów, z których niejeden stał się historyczny. Nad Kuczem górował — trzeba to przyznać — wykształceniem i talentem literackim, ówczesny redaktor „Kurjera Warszawskiego", Wacław Szymanowski. Ale Szymanowskiemu brakowało tego co roztaczał dokoła siebie Kucz: uroku osobistego. Świetne jednak czasy „Kurjera Codziennego" trwały niedługo. Kucz zapadł na głuchotę, która była skutkiem mrozów orenburskich, musiał się wycofać z towarzystwa i wkrótce z redakcji. Stanowisko jego zajął w niej jego zięć, młody, dwudziestopięcioletni urzędnik, wychowanek Szkoły Głównej Ten dobrał sobie grono młodszych współpracowników w osobach: Józefa Kotarbińskiego Wiktora Gomulickiego, Klemensa Junoszy-Szaniawskiego, Michała Wołowskiego i Piotra Jaxy - Bykowskiego. O każdym z tych ludzi możnaby pisać całe tomy fantastycznych anegdot.

Ograniczymy się jednak do kilku bardziej znamiennych epizodów. Przedewszystkiem więc godzi się wspomnieć, kim był wówczas Wiktor Gomulicki późniejszy głośny poeta, dziś niesłusznie zapomniany.

Był to wczorajszy student Szkoły Głównej, początkujący publicysta, autor kilkunastu wierszy lirycznych, poumieszczanych w pismach tygodniowych. Do szczególnych Gomulickiego dziwactw należało m. in. to, że wychodził z domu dopiero późnym wieczorem i spędzał długie godziny północne w „bawarjach" gdzie była damska obsługa. Nadto — czernił swój nikły wąsik który jego drobnej postaci miał dodawać męskości. Ponieważ, notabene w zwyczaju Gomulickiego leżało częste przenoszenie się z mieszkania do mieszkania, a nawet z dzielnicy do dzielnicy, więc padł on raz ofiarą fatalnego nieporozumienia. Oto władze śledcze szukały właśnie jakiegoś draba, który podobno ukrywał się po dokonaniu zbrodni.

Ktoś doniósł:

— Jest właśnie taki. Mieszka u nas w domu. Wyłazi dopiero wieczór, bo nie chce, żeby go poznali w dzień. Nikt go tu nie zna, bo mieszka niedawno. Ale to napewno on. Bo pocóżby farbował wąsa. Wiadomo: dla niepoznaki.

Przyszli, wzięli poetę i zaprowadzili do paki jak się wtenczas mówiło: do cyrkułu. Ale tam znalazł się komisarz, czy rewirowy, który na szczęście, znał Gomulickiego jeszcze z Łomży, z jego czasów szkolnych. To go uratowało od wielu, bądź co bądź, przykrości. (Zdarzenie to szczegółowo podane jest w Młodej i Starej Prasie — książce przypisywanej W. Przyborowskiemu.).

Gomulicki prawie nigdy się nie odzywał. Mógł siedzieć w redakcji przez kilka godzin, pisząc swoim kaligraficznym charakterem, bez zmiany przecinka — i nie odezwać się ani jednem słowem. Dopiero, około godziny pierwszej, lub drugiej w nocy, miał zwyczaj przysyłania przez posłańca pachnącego „sekretnika", a w nim pismo takiej mniej więcej treści:

Szlachetny Redaktorze! Znając Twoją wypróbowaną wzniosłość charakteru, wiem zgóry, że mi nie odmówisz i wyratujesz z opresji bez wyjścia.

Chodzi o rzecz w zasadzie niewielką, o przysłanie przez oddawcę niniejszego rb. 5 (pięciu) dla wyzwolenia mnie z tej groty pełnej czarodziejek.

Spełnij to, Redaktorze z sercem pogodnem, a przyszłe pokolenia opiewać będą wspaniałomyślność Twoją.

Takich listów Gomulickiego, jako ciekawych okazów, przechowywało się w rodzinie piszącego te słowa — co niemiara.

T. Hiż.

O GRUPIE LITERACKIEJ „CZARTAKA"

Rozpoczynając druk artykułów omawiających działalność grupy literackiej „Czartaka", której współ z Janem Nepomucenem Millerem i Emilem Zegadłowiczem byłem założycielem, czuję się w obowiązku zaznaczyć, że artykuły te powstały w cieniu całkowitej objektywności do rozpatrywanego przedmiotu i aczkolwiek ustosunkowanie moje do wskazań ideologicznych „Czartaka" w obecnej chwili jest zasadniczo odmienne, niźli to miało miejsce jeszcze przed rokiem, nie mam zamiaru umniejszać istotnych zasług grupy, jak nie byłoby wskazanem z drugiej strony w imię tejże bezstronności przemilczać niedociągnięć i błędów, których zresztą byłem i świadomym sprawcą i mimowiednym akceptantem.

I.

Grupa literacka „Czartaka" ujawniła się w roku 1922, manifestując swe powstanie powołaniem do życia czasopisma, w którem opublikowano program

i plany nowego zespołu. „Polska niepodległa musi się zdobyć na nową sztukę, któraby udowodniła jej prawo do samodzielnego bytu w rodzinie wolnych ludów, śród których zasiadła, odrodzić się sztuka polska powinna bez zezów wallenrodycznych i bez czkawki odbrzusznej na podłożu *duchowej czystości, rzetelności, prawdy, zachwytu i olśnienia* przed wiecznościowemi perspektywami życia narodu wolnego, co własnem czuciem przenika krąg swych przeznaczeń; jak z pierwotnych form pracy człowieka: żniwa i kośby, orki i zasiewu, rąbania i kucia powstały pierwsze rytmy poddawcze tańca i poezji: więc kowalski daktyl, więc trochej żniwiarski, jamb siewny i dyjambowy polonez, tak nowym formom pracy mięśni, umysłu i bijącego serca oddźwięczeć powinny nowe harmonje i nowe wcielenia"[1]. Program przystosowany do nowej rzeczywistości polskiej, która zastała nas nieprzygotowanymi do nowego życia, program urodzony w ogniu pełnej świadomości orjentacyjnej i umocniony na podłożu etycznej prostolinijności, nie został rozwinięty w duchu wymogów współczesności i nowych warunków życia polskiego. Grupa „Czartaka" po odejściu od niej Jana Nepomucena Millera, który był jedynym w tem ugrupowaniu pisarzem, kładącym nacisk na konieczność współdziałania z rzeczywistością, poszła po linji upodobań regjonalistycznych, koncentrując cały wysiłek twórczy w opisywaniu piękna ziemi beskidzkiej i obyczajów ludu zamieszkującego ten kąt Polski.

Istota regjonalizmu polega na zainteresowaniu ogółu życiem, obyczajami i sprawami pewnego ośrodka kraju, żyjącego odrębnością etnograficzno-społeczną, historyczną i kulturalną. Regjonalizm w Polsce inne ma wszakże podłoże niźli np. regjonalizm we Francji, gdzie propaganda idei regjonalistycznych idzie po linji interesów polityczno - społecznych i ekonomicznych. Regjonalizm na gruncie polskim powstał niedawno i ogranicza swą działalność — poza nielicznymi wyjątkami — do spraw kulturalno - oświatowych. Ruch regjonalny, mający na celu zbliżenie się do źródeł polskości, jest czynnikiem ważkiego znaczenia, którego nie może ocenić należycie krótkowzroczna teraźniejszość. Aleksander Patkowski, znany działacz na polu regjonalizmu w Polsce w ten sposób ujmuje całokształt zadań tego ruchu. „Regjonalizm wysuwa hasło odrodzenia wartości rasowych polskich, wzmożenia poczucia przynależności terytorjalnych przez podejmowanie zbiorowego wysiłku ugrupowań, osiadłych na danem terytorjum do organizacji pracy, koordynowania inicjatywy, twórczego i aktywnego stosunku wobec zjawisk zachodzących w najbliższem otoczeniu. Przez wszechstronne poznanie ziemi i człowieka — regjonalizm budzić ma zmysł organizacyjny, dar inicjatywy, umacniać dyscyplinę egzekutywy, szerzyć zamiłowanie do konstrukcji i konkretności, wykrzesać słowem energję narodową, umocnić ją wolą ciągłości i konsekwencji czynu"[2].

Z przytoczonych poglądów wynika, że „regjonalizm" „Czartaka" nie odpowiada założeniom teorytycznym wiedzy o regjonaliźmie, że posiada charakter raczej turystycznych opisów, czynionych na marginesie baedeckerowskich wykresów. Z drugiej strony podkreślić godzi się, że „regjonalizm" grupy „Czartaka" nie był w żadnym wypadku rezultatem ułożonego z góry planu ,wyrósł w toku działalności bez udziału jakichkolwiek zamysłów ubocznych i poza świadomością jej twórców. I aczkolwiek ziemia beskidzka, „zamknięta — jak poucza przedmowa — jakiemiś górami, miastami i wioskami, które najłatwiej znaleźć na tej czy innej mapie, leży zdala od zgiełku europejskiej i swojskiej dyplomacji, i stanowi odrębne niejako państwo — i charakterem ludności i charakterem przyrody"[3], to jednak grupa „Czartaka" nie objawiła żadnych skłonności do tworzenia poezji lokalnej czy partykularnej, ograniczając swe zainteresowanie do umiłowania tego skrawka ziemi, zasobnego „w piękne tradycje przeszłości, który utrzymał się w ramach tych nieprzemijających legend dzięki mocnej indywidualności ziemi"[4].

W przeciwieństwie do Nr. 1 „Czartaka", ujmującego w sposób określony zadania i dążenia grupy, almanach z roku 1925 rezygnuje z wszelkiej programowości, ograniczając się do jedynego wskazania, pobrzmiewającego romantycznemi brzękadłami. „Z najwyższych szczytów tej Republiki Górskiej chcemy rozsiewać światło na wszystkie cztery strony świata w myśl odwiecznej prawdy, że wszelka radość idzie z gór"[5].

Dopiero następny almanach z roku 1928 ujawnia bardziej sprecyzowane zamierzenia, wyraźniejsze postulaty ideologiczne. W artykule wstępnym Emil Zegadłowicz ujmuje rodowód grupy i wykreśla podstawy ideologiczne, wywodząc je z ziemi. W przyrodzie z jednej strony a w człowieku z drugiej widzi linję pochodu oraz cel ostateczny ducha ludzkiego. Założenia „Czartaka" są antyurbanistyczne. Zbiorowiska miejskie z całą ich strukturą społeczną uważane są przez Zegadłowicza „za uciążliwy i bolesny zjazd z traktu głównego na wertepy i manowcowe bezdroża, krótko mówiąc za jedną z licznych pomyłek, którym ludzkość w pochodzie dziejowym ulega"[6]. Przyjmując, że historjozofja polska, poezja polska i myśl polska idą po linji ziemi, dochodzi Zegadłowicz do wniosku, że „objawem osiedliskowym jej mieszkańców jest wieś", będąca mądrem obserwatorjum biegu wichrów i gwiazd, dorocznego prawa zmienności, celebry orki i zasiewu, zaciętego współżywiołowego borykania się o chleb powszedni dla wszystkich, gdzie w przyrodzonej człowiekowi formie bytowania rozkwita czucie i dojrzewa myśl na zdrowy pokarm pokoleniom"[7]. Wszelką formę zewnętrzną uważa Zegadłowicz za emanację istoty rzeczy, więc za sprawę drugorzędną, która jest raczej sprawą osobistych upodobań. „Zresztą duch w chwili nawiedzenia zawsze melodję znajdzie najwłaściwszą i w ton potrzebny uderzy"[8]. Treść powinna być wszystkiem. Podstawą artystycznych zagadnień dla Zegadłowicza jest bez-

[1]) „Czartak" 1922 r. „Rzeczenie wstępne".

[2]) „Ideje przewodnie regjonalizmu" — „Przegląd Współczesny" Nr. 30, 1924 r.

[3]) [4]) [5]) „Czartak" 1925 r. — „Słowo wstępne" Edwarda Kozikowskiego.

[6]) [7]) [8]) „Czartak" 1928 r. „Słowo wstępne" Emila Zegadłowicza.

pośredniość, prostota, szczerość, — religijnych — ewangelje i miłość,—społecznych—pokochanie wzlotów i upadków człowieka, nędzy ludzkiej, jednem słowem—dojrzenia w człowieku człowieka. Misja duchowa narodu polega na „osadzaniu w duszy człowieczej tronu dla Boga"[9]). Ku temu celowi wiedzie droga przez rodzimość i rasę. „Tutaj też jest wytłumaczenie — pisze Zegadłowicz — naszego fanatycznego przywiązania do spłachcia ziemi bezskidzkiej, która stała się dla nas z narastaniem lat, przemian i doświadczeń, odskocznią na wszelkie wzloty"[10]). Jest to baza operacyjna, skąd wiodą drogi szerokie i otwarte na wszystkie strony świata. W dalszym ciągu Zegadłowicz zastanawia się nad sprawą walki, która towarzyszy każdej nowej idei, żywiącej pragnienie zwycięstwa, — i uważa, że walka dla „Czartaka" nie może być synonimem tępienia, niszczenia, odrzucania w czambuł i wyszydzania. Walka dla „Czartaka" jest pojęciem karności wewnętrznej, pojęciem zdobywania i ubijania gościńców w regjonach ducha, cierpliwie i radośnie, gdyż niema tak złego człowieka, któregoby nie można pokochać i zdobyć miłością. „Niema człowieka takiego, ani warstwy, ani narodu, ani czasu, anie idei!"[11]) — woła z emfazą Zegadłowicz. Ideologja „Czartaka" — jak widzimy — wyrasta z założeń antymaterjalistycznych i antyracjonalistycznych z dużą domieszką mistycznej przyprawy. O sprawę tę zatrącam mimochodem, odkładając uważniejsze rozpatrzenie jej do artykułów następnych, w których wypadnie mi mówić o dodatnich i ujemnych stronach działalności „Czartaka" oraz o konieczności poddania gruntownej korekturze dotychczasowego programu, opartego na nieistotnych i nierzeczywistych założeniach i przepojonego nazbyt górnolotną frazeologją poetycką.

E. Kozikowski.

[9]) [10]) [11]) „Czartak" 1928 r. — „Słowo wstępne" Emila Zegadłowicza.

KRONIKA ZAGRANICZNA

Dzieło o renesansie włoskim.

Nakładem lipskiej firmy Seemanna wyszło dzieło Leona Bruhnsa: „Die italienische Renanissance", które w sposób popularny i wyczerpujący maluje tę przebogatą epokę sztuki włoskiej. Autor ożywił dzieło własnemi impresjami i spostrzeżeniami. Opisy są żywe i plastyczne tak, że książka Bruhnsa informuje doskonale o włoskim renesansie.

Dzieło ozdobione jest licznemi, trafnie dobranemi reprodukcjami.

* * *

Sensacyjny słownik w Szwajcarji.

Nakładem firmy „Engadin Press" w Samaden, w sercu Engadiny, jednego z najpiękniejszych kantonów Szwajcarji, wyszło obecnie dzieło, przyjęte z ogromnym entuzjazmem w całej Szwajcarji, zwłaszcza zaś w Engadinie. Jest to słownik języka retoromańskiego, którego używa po dzień dzisiejszy lud w kantonie „Engadina" a który należy do grupy języków romańskich i zachował się w dziewicznym niemal stanie tu wśród niebotycznych gór.

Językiem tym, który spadł niejako do rzędu djalektów, zajął się przed kilkunastu laty dr. A. Velleman, prof. uniwersytetu genewskiego, który jako kilkoletni dyrektor liceum alpińskiego w Zuoz miał wiele sposobności zatknięcia się bezpośrednio z ludem. Posiadł on język doskonale i rezultaty swej żmudnej pracy zawarł w wydanej przed paru laty gramatyce języka retoromańskiego ująwszy go zupełnie indywidualnie i jak twierdzą znawcy i fachowcy nader trafnie w reguły i formy stwarzając w ten sposób z gwary ludowej regularny język i dając ludności tamtejszej, przywiązanej bardzo do swego ojczystego djalektu, możność uczenia się go zupełnie systematycznie.

Obecnie zaś poszedł prof. Velleman w swych pracach nad językiem retoromańskim jeszcze dalej, dając możność zajmowania się nim i studjowania go również cudzoziemcom. Przed paru bowiem tygodniami ukazał się słownik tego przyjemnego w brzmieniu języka z przekładem na język niemiecki, francuski i angielski. Profesor Velleman, uważany za poważnego filologa, jest wyjątkowym polyglotą i tłomaczem i dzięki temu jedynie mógł się podjąć wielkiego zadania, opracowania podobnego słownika, który jest rezultatem długich lat żmudnej pracy, o czem autor wspomina w obszernym wstępie, wyjaśniającym do pewnego stopnia genezę tego wielkiego przedsięwzięcia.

Obszerna gramatyka Vellemana (na przeszło tysiąc stron) i obecny słownik stawiają język retoromański już zupełnie poważnie wśród grupy języków romańskich dając każdemu filologowi i specjaliście językowemu możność włączenia w krąg swoich zainteresowań naukowych języka, używanego przez niewielką grupę ludzi a zachowanego w swej pierwotnej niemal formie głównie dzięki odporności i dzielności ludu szwajcarskiego, który umiał zawsze przetrwać wszelkie burze dziejowe.

* * *

Zwrot rękopisów poety szwajcarskiego.

Rząd włoski postanowił zarządzeniem, ogłoszonem w dzienniku urzędowym podarować Szwajcarji kilka rękopisów poety szwajcarskiego osiemnastego wieku Alberta Hallera, które znajdowały się dotychczas w posiadaniu bibljoteki narodowej w Medjolanie i bibljoteki uniwersyteckiej w Pawji.

* * *

Napoleon w literaturze współczesnej.

W wychodzącem w Stuttgardzie czasopiśmie: „Weltstimmen", zamieścił Rudolf Paulsen ciekawy artykuł, zajmujący się pomimo zapowiadającego wiele tytułu właściwie wyłącznie prawie niemiecką literaturą napoleońską.

* * *

Nowa powieść Cocteau.

Nakładem firmy Grasset w Paryżu wyszła nowa powieść Jean Cocteau pod tytułem: „Les enfants terribles".

* * *

Nieznany portret Fr. Schillera.

W Quedlinburgu znalazł malarz Hans Spitzmann obraz, znajdujący się w prywatnem posiadaniu, który uznano za portret autora „Don Carlosa" pendzla Gerharda von Kügelgen. „Odkrywca" portretu podjął się odrestaurowania go.

* * *

Malarstwo niderlandzkie.

Max J. Friedländer, ceniony znawca sztuki w Niemczech wydał nakładem firmy Paul Cassierer w Berlinie szósty tom swego wielkiego dzieła z dziedziny historji sztuki: „Die altniederländische Malerei, Memling und Gerard David".

Z głęboką wnikliwością i prawdziwem wyczuciem piękna analizuje Friedländer twórczość obu artystów podkreślając ich wielkie znaczenie w rozwoju nowoczesnego malarstwa.

Świetnie i zajmująco napisane dzieło Friedländera ozdobione jest przeszło dwustu doskonale wykonanemi reprodukcjami obrazów obydwu malarzy holenderskich.

* * *

„Dubrovnik".

Wychodzące pod tytułem „Dubrovnik" nowe czasopismo artystyczne, zajmuje się w trzecim numerze katedrą w Dubrowniku, o czem w sposób ciekawy pisze Liepopoli. Artykuł ten ozdobiony jest licznemi ilustracjami. Oprócz tego znajdujemy też artykuł „Dubrovnik a Czarnogóra", dalej wiadomości o zamorskim handlu jugosłowiańskim i bogaty dział recenzyj i sprawozdań.

* * *

Bibljoteki gminne w Czachosłowacji.

Dwudziestego drugiego lipca upłynęło dziesięć lat od wydania ustawy, mocą której zarządzono założenie i zorganizowanie we wszystkich, nawet najmniejszych gminach republiki czeskosłowackiej bibljoteki, złożonych z dzieł ogólno kształcących, jakoteż z umiejętnie dobranej lektury beletrystycznej. Ustawa wywołała przed dziesięciu laty ogólne zainteresowanie, ponieważ był to na kontynencie europejskim pierwszy wypadek ujęcia tak ważnej placówki oświatowej w ręce państwa. W przeprowadzeniu ustawy, której myśl zrodziła się w Cezchach jeszcze w czasie wojny, położył największe zasługi dyrektor L. Zivny.

Koszty utrzymania bibljotek gminnych ponosi państwo wraz z zarządami gminnemi, które starają się o dostarczenie odpowiedniego lokalu, zajmują się urządzeniem i prowadzeniem danej bibljoteki. Duża jest też dbałość o odpowiedni dobór dzieł z uwzględnieniem mniejszości narodowych. Bibljoteki ludowe rozwijają się samodzielnie i znakomicie na całej Słowaczyźnie i na Rusi podkarpackiej.

Statystyka z roku 1927 wykazuje 11,274 bibljotek czeskich, zawierających 3,943.988 tomów; 3.126 bibljotek niemieckich z miljonem 358.389 tomów; w Rusi podkarpackiej znajduje się 285 bibljotek, zawierających 35.406 tomów; statystyka wykazuje również 59 bibljotek polskich z 14.593 tomów. Dzięki owym bibljotekom o charakterze ludowym wzmogło się w znacznym stopniu czytelnictwo w państwie czechosłowckiem i podniósł się bardzo widocznie stopień kultury w zapadłych i odległych wioskach i osiedlach.

Czy ten sposób postawienia sprawy nie przyczynia się o wiele wydatniej do wzmożenia czytelnictwa w kraju i do większego wzrostu kultury aniżeli wszelkie święta czy dni książki — jest problemem godnym zastanowienia.

LEONHARD FRANK

Leonhard Frank należał do grupy młodych pisarzy, którzy w r. 1915 z neutralnej Szwajcarji wysyłali w świat swoje płomienne protesty przeciwko barbarzyństwu wojny. Na czele grupy stał Rene Schikkele, wydawca pisma literackiego „Weisse Blätter". W piśmie tem, w którem współpracowały najlepsze pióra ówczesnych Niemiec i zagranicy (Sternheim, Werfel, Laudaner, Däubler, Barbusse) zamieścił Frank pierwszą nowelę głośnego później zbioru „Der Mensch ist gut". O ile mi wiadomo, Frank u nas jest znany tylko jako autor tego zbioru. A należy się z nim zaznajomić, chociażby dla jego ostatnich książek, które stawiają go w rzędzie wybitnych prozatorów.

Pierwsza powieść Franka „Die Rauberbande" przedstawia nam paczkę niespokojnych uczniaków, którzy tworzą bandę rabusi rewoltujących przeciwko szkole i porządkowi domu rodzicielskiego. Autor śledzi przez kilkadziesiąt lat dzieje „bandy", której członkowie z czasem podporządkowują się praktycznym nakazom chwili, przeistaczając się w potulnych obywateli. Przemianę tę autor notuje z nieukrywaną rezygnacją.

Tęsknota za wyzwoleniem z pod jarzma skostniałych systemów społecznych potęguje się w powieści „Die Ursache". Uczeń — literat po dwudziestu latach zabija w przystępie nienawiści swego byłego profesora. Gdzie leży przyczyna tego okropnego czynu? Frank odpowiada: „Zaduch szkoły, fałszywego wychowania, bigoterja, cały ten cuchnący wrzód moralności europejskiej wypisuje groźną przyczynę widocznemi literami na dalekiem niebie. Europejski człowiek zamienił się w chorą, podstępną, drapieżną bestję. Bóg, umiłowanie człowieka, dobroć, wszystko to cofa się z przerażeniem przed obłędnem obliczem Europy". — Mała powieść działa na czytelnika z niezwykłą siłą. Twarda i jak drzeworyt kanciasta proza Franka osiąga w niej poważną wyżynę. Akcję pogłębia oświetlenie aktualnego problemu kary śmierci.

Frank jako pisarz polityczny i krytyk społeczny dojrzewa w zbiorze „Der Mensch ist gut". Występuje tu przeciw nieubłaganemu splotowi zbrodni, którego ostatecznym, nieuniknionym już wynikiem jest: wojna.

Nie wystarczy jednak być dobrym człowiekiem. Należy dążyć do obalenia niesprawiedliwości, do ukonstytuowania i utrwalenia wolności. Swoje niezachwiane credo socjalistyczne rozwija Frank w powieści „Der Burger".

Wartość Franka — polityka, szermierza wolności apologety uciśnionych, wroga wszelkiej ciemności, przemocy i zacofania jest nietykalna. Strona arty tyczna jego dzieł, jego sztuka, nie zawsze i nie wszystkich przekonywała. Wytykano jej skazy. Frank jednak i na tem polu zwyciężył. Czy głębokie zrozumienie uśmierzyło gorycz jego buntu, który nie mógł wytworzyć klimatu korzystnego dla wielkiej sztuki, czy też jest to owoc długoletniej pracy i dojrzewania, dość że Frank w nową, świetniejszą wstąpił fazę twórczości. Jego szorstki i surowy styl (acz dzięki temu bardzo wyrazisty i wypukły) stał się płynny, rozgoryczona swada oratora ustąpiła rozmiłowanemu malowaniu spokojnej narracji, w której jest miejsce na polot i na poezję. Ludzie i zdarzenia dotychczas bardzo realne ale suche, nie skąpane w gorącej kąpieli wyobraźni, są teraz jakby oddalone od rzeczywistości, ale dzięki temu właśnie wymowniejsze, prawdziwsze. Mówię o powieściach „Karl und Anna" i „Das Ochsenfurter Männerquartett".

Podczas długich dni i lat na froncie francuskim opowiada piechur Richard swojemu nieodłącznemu przyjacielowi Karlowi — o swej żonie. Opowiada mu o niej ciągle i z drobiazgową szczegółowością. W końcu Karol zna ową daleką Annę na wylot. Zna jej duszę i jej ciało. Jej zajęcia, nawyki, zalety i namiętności. Karlowi udaje się opuścić front. Zakochany, gnany ślepą żądzą zdąża bez odpoczynku do Anny. Wyzyskując swoją wiedzę o wszystkich tajnikach jej życia, próbuje udawać Richarda, jej męża. Anna z początku temu nie wierzy, ulega jednak w końcu sile jego miłości. Z czasem ich wspólnota takiej nabiera mocy, że żyć bez siebie nie mogą i po powrocie Richarda opuszczają jego mieszkanie, udając się w niepewną przyszłość. — Przekonywujące skomponowanie pierwszego spotkania Karola z Anną, mistyfikacyjna gra Karola, powrót Richarda, wymagały pewnej i subtelnej ręki, nieomylnego instynktu. Frank nigdzie nie przekroczył granicy prawdopodobieństwa i przy pomocy dyskretnej instrumentacji swojej prozy stworzył czarujące dziełko.

W powieści „Das Ochsenfurter Männerquartett" spotykamy starych znajomych. Są to członkowie poskromionej niegdyś „Räuberbande", których wojna i inflacja wytrąciły z obywatelskiej równowagi, pozbywając ich regularnego trawienia, unormowanego spokoju i dochodów. Aby ratować się przed zagładą śmierci głodowej wstępują jako kwartet do kabaretu i znowu żyją dawnem, niepewnem, ale bogatszem i świeższem życiem.

Mimo rozwoju, który leży między debiutem „Die Räuberbande" a dojrzałością ostatniego dzieła „Das Ochsenfurter Männerquartett", twórczość Franka tworzy masę o wybitnej jednolitości. W dążeniach i w wyrazie.

Leonhard Frank jest rasowym epikiem o indywidualnem obliczu i niestrudzonym bojownikiem w służbie wolności.

Dr. T. Berman

P. S.: Szereg scen niemieckich wysławia obecnie udamatyzowane powieści L. Franka „Die Ursache" i „Karl und Anna".

PROBLEMY TURYSTYKI W OPRACOWANIU NAUKOWEM

Badając znamienne zjawisko doby dzisiejszej jakiem jest bezwątpienia przesyt kulturą miejską i związane z nim reakcje w formie powrotu do prostoty, przekonamy się, że zjawisko powyższe stale i okresowo się powtarza i że jest ono wynikiem kryzysu, jaki każda przerafinowana kultura przejść musi.

Znały go przekwitłe kultury Grecji i Rzymu; pod jego znakiem stał cały czasokres, poprzedzający wielką rewolucję; zmartwychwstał też dziś w epoce triumfującego industrjalizmu. Można więc mówić o różnych formach, w których ten prąd w różnych epokach się manifestował, można też podnosić specyficzne cechy, które go w pewnych wiekach znamionowały, ale zawsze i wszędzie można wskazać na wspólne źródło tego objawu; jest niem mianowicie przesyt kulturą urbanistyczną. Przedelikacona kultura miejska jest wyczerpana. Cierpieli z jej powodu już starożytni Grecy. Bogactwo ich miast, przesadna obfitość prowadziły konsekwentnie do rozleniwienia i degeneracji. Biadali nad tem pisarze greccy i z zazdrością patrzyli na Franków, tych zdrowych i mocnych sąsiadów. Nie lepiej działo się i w Rzymie cezarów.

Również i dziś jest więc zwrot do natury objawem zrozumiałym i stanowi zdrową reakcję na niszczący wpływ miasta z jego przymusem siedzącego trybu życia. Jesteśmy jednak tajlorystami i systematykami i dlatego możemy się poszczycić, żeśmy ujęli w karby organizacyjne nasz „powrót do natury", a więc mamy instytucje jak „week-end", „wood-craff" i metody turystyki. W Niemczech, wzmagający się coraz bardziej ruch turystyczny stał się już przedmiotem badania naukowego. W czwartem wydaniu słynnego dzieła prawniczego „Handwörterbuch der Staatswissenschaften" (G. Fischer-Verlag, Jena) prof. dr. Wilhelm Morgenroth, dyrektor urzędu statystycznego miasta Monachjum, zamieścił ciekawą rozprawkę o całokształcie zagadnień turystyki. W ten sposób zagadnienie turystyki zostało naukowo potraktowane w jednem z najlepszych wydawnictw współczesnych Niemiec. Treść rozprawki zawarta jest w czterech rozdziałach. Pierwszy rozdział omawia istotę i ogólne cechy turystyki; w drugim — prof. Morgenroth definjuje turystykę, jako ruch ludzi, którzy opuszczają na czas pewien stałe miejsce swego zamieszkania, by przebywać w in-

nych miejscowościach, celem zaspokojenia swych potrzeb życiowych i kulturalnych lub pragnień osobistych. W miejscowościach swego chwilowego pobytu przebywają turyści wyłącznie w charakterze spożywców dóbr gospodarczych i kulturalnych. Turystyka nie ciągnie przeto żadnych bezpośrednich zysków materjalnych z terenów swego działania, lecz przeciwnie, przynosi im korzyści gospodarcze. Podkreślając doniosłe znaczenie gospodarcze turystyki, prof. Morgenroth zaznacza, iż spełnia ona nietylko funkcje przemysłu eksportowego, lecz stwarza również nowe źródła zarobkowania. Dwojakie są podstawy polityki, jaką do celów turystyki należy stosować. Pierwsza obejmuje utworzenie odpowiednich udogodnień turystycznych, a więc linij komunikacyjnych, hoteli oraz należytego rozwiązania kwestji paszportowej; druga dotyczy propagandy. W czwartym wreszcie i ostatnim rozdziale swej rozprawki prof. Morgenroth zastanawia się nad systemem statystyki turystycznej i domaga się międzynarodowego i jednolitego jej uregulowania.

Jednocześnie władze samorządowe Berlina przyznały berlińskiej Wyższej Szkole Handlowej roczną subwencję w wysokości 45.000 mk. na zorganizowanie katedry naukowej o turystyce (Fremdenverkehr). Badania nowego instytutu będą dotyczyły: 1) społeczno-gospodarczych zagadnień turystycznych, 2) polityki i statystyki turystyki, 3) gospodarki przedsiębiorstw turystycznych, 4) turystyki i istoty hotelarstwa, 3) zagadnień prawnych turystyki, 6) techniki turystyki światowej i 7) turystycznej. Wykłady obejmą dotychczasowi profesorowie szkoły, ponadto zaś stworzone zostaną 3 nowe katedry zwyczajne zagadnień turystycznych. Na katedry te zostaną powołani: ekonomista, teoretyk zagadnień ruchu i fachowiec z dziedziny turystyki.

L. R.

WYSTAWA „SETTECENTO" W WENECJI

Niema chyba kraju, w którymby każdego roku organizowano tyle wystaw, co w słonecznej Italji, gdzie istotnie każde z poszczególnych miast i miasteczek nadaje się jakoś specjalnie do wszelkich uroczystości, zjazdów a przedewszystkiem do urządzania wystaw różnego rodzaju. Każde z miast włoskich zachowało mniej lub więcej swoisty charakter i zastosowując do swojej indywidualności rodzaj wystawy, zlewa się z nią zazwyczaj w harmonijną całość, wytwarzając nastrój jedyny w swoim rodzaju, nie dający się porównać z przeciętnym nastrojem wystawy czy kongresu w żadnem innem mieście Europy.

Niezapomniane są też wrażenia doznawane w mniejszych, a zarazem może najciekawszych miastach włoskich z okazji uroczystości historycznych, opartych na wielowiekowej tradycji, z okazji zjazdów międzynarodowych, a wreszcie z racji wystaw ogólnych czy regjonalnych, których odbywa się we Włoszech tak wiele.

Niezapomniane takie chwile przeżywałam przedewszystkiem w Florencji, Sjenie, Asyżu i Perugji, wreszcie w Neapolu.

Ustaloną tradycję posiadają już wystawy weneckie Biennale, odbywające się co dwa lata, a zainaugurowane jeszcze przed wojną. Na wiosnę roku następnego przygotowuje się już nowa „Biennale" i za każdym razem trzeba z żalem myśleć o tem, dlaczego Polska nie posiada w Wenecji własnego pawilonu! Jaka to szkoda niepowetowana dla propagandy zagranicą naszej wcale nie gorszej sztuki! Bo Wenecja jest przecież wybitnem centrem ruchu turystycznego i godne wystąpienie w Wenecji ma niedocenione może u nas znaczenie na polu szerzenia polskiej sztuki zagranicą.

Także na obecnej wystawie „Settecento" włoskiego w Wenecji, Polska powinna była bezwarunkowo wziąć czynny udział, zwłaszcza, że organizujący komitet zwrócił się z apelem do wzięcia w niej udziału wszystkich krajów i narodów, które posiadają wartościowe dzieła sztuki włoskiej osiemnastego wieku. A któryż naród posiada ich więcej od nas i któryż naród jest ściślej związany z sztuką włoską tej właśnie epoki aniżeli Polska? Źle się zatem stało, że Polska w wystawie „Settecenta" udziału nie wzięła.

Najbogatszego materjału dostarczyła oczywiście Italja, wybierając najcenniejsze okazy ze swych zbiorów muzealnych i prywatnych, tak z dziedziny malarstwa, jakoteż z dziedziny sztuk dekoracyjnych i przemysłu artystycznego z wspaniałemi meblami i robotami złotniczemi na czele. Piękne zbiory porcelany i szkła znalazły też godne pomieszczenie; nie mniej uwagi poświęcono artystycznym tkaninom. Specjalny dział tworzy dekoracja teatralna. Jak błyszczałyby obok eksponatów, sprowadzonych z Monachium, a nawet z Londynu, dzieła sztuki, przesłane z Polski?! Jak zachwycałyby oczy licznych zwiedzających tę piękną i nader ciekawą wystawę wenecką nasze obrazy Canaletta, Bacciarelli'ego, Lampi'ego czy Grassi'ego.

Reprezentowana bogato na wystawie weneckiej Rosalba Carriere, związana życiem swem osobistem ściśle z Polską, byłaby przemówiła jeszcze jaśniej i wyraziściej do międzynarodowej publiczności podziwiającej jej subtelne obrazy, tak charakterystyczne dla ówczesnej epoki!

fr. s.

ODPOWIEDZI
„GŁOSU PRAWDY" LITERACKIEGO

J. Bier. Siedlce. Wiersze Pana drukowalibyśmy bardzo chętnie, gdyby na to zasługiwały. Niestety są bardzo słabe. Poezja poświęcona wzniosłym czynom i wielkim postaciom sprawy narodowej nie może, — że tak powiemy, — wyklamywać się wielkością tematu od istotnego wykonania tegoż tematu w poetyckiej formie. Z racji wszystkich rocznic narodowych, powstańczych, czy legjonowych otrzymujemy w danych okresach mnóstwo takich właśnie poezyj, które natężeniem patrjotycznego uczucia pragną zasłonić istotne niedobory

poetyckie. Tymczasem wielkość tematu nie zakryje nigdy niedostatków wykonania.

W. Jan Wieluń. Pisze Pan cztery bite zwrotki o szeptach wieczornych, ale w końcu o jaki tu smutek chodzi, o jakie tęsknoty nic nie wiadomo. Trzeba jednak chyba wiedzieć czego się od swojej poezji wymaga. Przecież pisanie wierszy nie może polegać na tęsknem, lecz w gruncie rzeczy zupełnie bezmyślnem wiązaniu rymów.

El. Es. Nie, — nie radzimy pani zająć się wyłącznie gospodarstwem domowem, mimo iż studjowane przez nas pilnie a drukowane w „Kobiecie Współczesnej" dodatki dotyczące gospodarstwa przedstawiają to gospodarstwo jako pracę solidną i owocną. Radzilibyśmy raczej nie porzucać gospodarstwa a równocześnie dalej pisać wiersze. Nie wydrukujemy Rezygnacji, gdyż jest w niej jakiś patos teatralny. „Oczy co słońca się wstydzą": pięknostek takich należy unikać, jak ognia, jak zarazy. Natomiast oba tamte wiersze „z cyklu" wydrukujemy. Ba, musimy panią uprzedzić, że zwrotkę, w której występuje „troski ostra klinga", że tę zwrotkę drukować będziemy z wielką boleścią. Wiersze „z cyklu" są proste, serdeczne, mają swój rytm, pełen dość znacznego wdzięku, są pisane pod znacznym wpływem „Imion Wróżebnych" Iłłakowiczówny. Wpływ dobry, ale przecież trzeba go przemóc i zostać sobą.

Alfred L. Kraków. Podziwiamy tak wielce uporczywą cierpliwość pańską. Pocóż nam pan przysyła te symbolizmy, kiedy już panu pisaliśmy tyle razy, że ta droga symbolizmów jest drogą ślepą. Radzimy przeczytać wszystkie tomy nowel Maupassant'a. Nauczy się pan z nich co to znaczy budować opowiadanie, wprowadzać osobę do opowiadania, wiązać djalog, dawać opis sharmonizowany z całością noweli. Radzimy zrobić sobie dyspozycję pierwszej lepszej noweli Maupassant'a: zobaczy pan może nareszcie na czem polega sztuka pisania noweli.

Elemir. Część wierszy pańskich drukowaliśmy. Po honorarjum należy się zwrócić do Administracji. Czekamy chętnie nowych utworów, gdyż stanowczo wierzymy w pański talent.

Wacława Ch. Ależ, proszę pani, przecież ten drobiazg nie ma żadnego artystycznego znaczenia. Owszem drukowalibyśmy chętnie, nie żałujemy miejsca młodym poetom. Trzeba jednak, by dany utwór posiadał chociaż jakie takie znamiona poezji.

W. B. No dobrze, proszę pana, ale o cóż chodzi? Pisze pan zwykłemi słowami, że ktoś umarł, że konie wloką karawan, że podczas tego wróbelki skaczą z gałęzi na gałąź, że na cmentarzu zakopią trumnę w ziemię i na tem się wiersz kończy. Cóż my na to wszystko możemy poradzić, że wróbelki skaczą po drzewach?

Stałe czytelniczki. Zambrów. Oczekujemy niecierpliwie utworów Szanownych pań.

W. R. Katowice. Nadesłany utwór wedle naszego skromnego zdania niema najmniejszego sensu. Napisany jest niedbale, prozą lichą, banalną. Radzimy porzucić tę prozę, która, szczerze mówiąc, nie jest niczem innem, jak tylko nieznośnem pospolitem grafomaństwem.

Kalina. Nie jest to wszystko razem pozbawione miłego sentymentu, niestety jednak forma uboga, pospolita sprawia, iż utworów tych drukować nie będziemy.

E. K. Pabjanice. Pisze pan tak: „Boże, Ty mi daj taką grzmiącą sławę, coby się niosła aż na koniec świata, Chociażbym życie miał jak nędzarz łzawe i choćbym cicho odszedł jak duch, gdy odlata i niechby zapomniany grób mój skrył się w trawę, lecz żeby imię trwało lata". Na Boga, dlaczegoż panu tak zależy na tej sławie? Cóż panu z tego przyjdzie, że jacyś durnie, — no bo wobec takiej sławy, wszyscy będziemy durniami — przez całe lata powtarzać będą pańskie imię? Czy warto ponosić panu takie ofiary dla takiego głupstwa?

Stef. P. Brzeżany. „Meble" się nie udały. „Pożegnanie"— o tyle o ile, raczej nie. Natomiast z przyjemnością wydrukujemy „Miasteczko". W tym ostatnim wierszu jest pan konkretny, ozdabia pan swoją poezją coś żywego, istotnego. Niema tam gadania o jakichś poetycznych transach, żalach, bólach i tego rodzaju figlach, a tylko znane wszystkim, wszystkim dostępne zjawisko opromienione zostało serdeczną poezją.

Jerzy L.: Pisze Pan, „że oczy lizane płomieniem, — płaczą". Otóż w tych właśnie oczach „lizanych płomieniem" gnieździ się całe niedomaganie poezji pańskiej. Nie wiemy jeszcze, co chce Pan powiedzieć w swych wierszach. Wiemy już jednak, że mówi Pan z niewymierną, poprostu, — przesadą.

J. Przyd. Poznań. Musi Pan chyba zacząć całkiem inaczej pracować: Wiersze pańskie, — to się czuje w każdej strofce, — pisane są jakgdyby na pokaz dla jakiejś uznanej przez Pana za najlepszą, — publiczności. Otóż nie. Niech Pan pisze dla siebie, wyłącznie dla siebie. Niech Panu nie przeszkadza myśl nieporęczna o jakimś obcym słuchaczu. Niech Pan **dla siebie** szuka w głębi swego natchnienia najszczerszej prawdy. Takich wierszy czekamy od Pana.

Edwarda R. Zakopane: Jeżeli możemy być szczerzy: Trzeba zacząć od początku, na nowo. Tak, jakby Pani dotąd nie pisała wogóle wierszy i nie doznała jeszcze żadnego powodzenia ,czy też uznania. Wedle nas, znajduje się Pani na najgorszej drodze, czułostkowych „smaczków", „łezek" i tego rodzaju konfiturek poetyckich. Wspomina Pani w jednym z wierszów o bańce mydlanej. Otóż wszystkie nadesłane nam zwrotki, to nic więcej, jak bańka mydlana: Trochę jakiegoś pseudo kształtu, jakiegoś „ładnego kolorku", — w gruncie rzeczy — nicość.

Mila El. „Wędrówka" nie trafiła nam do przekonania. Tyle tego wysyłania i „wieszania oczu". Znacznie lepszy jest „dom wiejski". Być może wydrukujemy, mimo że i tam „wiesza Pani na drzewach oczy". W takiem nieszczęśliwem powiedzeniu odbija się cały, jakże wytężony, a jak fałszywy trud stylizatorski.

W. J-sza: Odpowiemy Panu nieco później. Przysyła Pan dwa tomy skryptu pisanego ręcznie drobnym, trudnym charakterem. Musimy więc mieć nieco więcej czasu, by całość przeczytać, a raczej odcyfrować. Prosimy o trochę cierpliwości.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIŻ.*

Drukarnia Artystyczna, Nowy-Świat 47. **Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.**